

Jest poniedziałek.

Dowiedziałem się o wszystkim w prosty sposób - opisy na gadu krzyczące wielkimi literami. ODDAJ PŁYTKI KRWI, URATUJ ŻYCIE. Wypytałem jedną z właścicielek podobnego opisu, o co chodzi. A. powiedziała mi, że rak kości, że ostatnie stadium, że najcięższa chemioterapia, że może hospicjum, że spokojna śmierć. Że niezgoda, że chęć życia, walka. I nigdy nie chciałbym odpowiadać sobie na pytanie, co ja bym zrobił, gdyby spotkało to mnie. Nie było nawet decyzji, którą trzeba rozważyć, podjąć, cokolwiek. To wszystko stało się samo, bez udziału woli, bez zakłóceń w moim rozkładzie zajęć. Rzeczywistość przypominała jeden wielki dryf i nic nie mogło mnie dotknąć i nic nie mogło mnie spotkać złego, a problemy napotykanne rozwiązywały się same bez najmniejszego wysiłku. Nie powiem, że czułem, że to jakiś obowiązek. Chciałem zobaczyć jak to jest - być bezinteresownym.

Poszedłem do katechetki. Ledwo mnie zna, bo przecież nie chodzę na jej zajęcia. Zatrokana mina, chęć pomocy. Obietnica działania. Byłem wdzięczny za religię w szkole po raz pierwszy.

Dostałem pozwolenie by obejść podczas lekcji wszystkie klasy trzecie, te gdzie uczniowie są pełnoletni, i przedstawić im krótko sprawę, zachęcić do pomocy. Jedna klasa. Przepraszam, mogę przerwać? Zdecydowanie nie. Ale trafiłem, dziewczyna rozdaje cukierki, ma mały diademik na głowie. Sto lat, sto lat. Mówię, o co chodzi i czuję, że mimowolnie się czerwienię, bo przerwałem. Na szczęście jest kilkoro chętnych. To są ci, których teraz z nami nie ma, bo piszą sprawdzian, czy wypracowanie. Następna klasa. Przerywam, mówię, pytam się o chętnych. Milczenie, kurwa, totalne nic. Trzydzieści pięć osób siedzi i patrzy się na buty, albo za okno. Co jest, ludzie?! Wiem teraz jak to działa. Można coś zrobić dla kogoś z rodziny, przyjaciela, dla znajomego. Dlaczego dla obcego nie? Obcy jest daleko? My jesteśmy obcy. Znam was? Kurwa, nie chcę. Nie znaczącie dla mnie nic. Widuję was codziennie i co?

Szczęśliwie w mojej klasie zgłaszają się chętniej. W sumie jest dwadzieścia osób. Ale szkoła, sprawdziany, fakultety, poniedziałek, płytki krwi, gruba igła. Czemu dziwię się, że widzę teraz tylko jedenaścioro? Krótka podróż autobusem ze Śródmieścia na Saską Kępę. Czy o czymś myślę? Nie, teraz już nie, zaczynam się niepokoić. A jeśli nie będę mógł oddać? A jeśli tym razem będzie to o wiele bardziej bolesne niż ostatnio?

Rejestracja, kretyński formularz. Czy uważam, że jestem chory na AIDS? Chyba nie, następne pytanie. Żółtaczką typu B? Gruźlica? Zmiany skórne? Nie, nie nie. Nic z tych rzeczy. Po cichu zastanawiam się, czy tym razem pozwolą mi oddać podwójne płytki. Ostatnim razem było ich tyle, że moja krew nie powinna być płynna, ale pękła mi żyła. Usprawiedliwiam się, a przecież i tak nikogo to nie będzie nigdy obchodzić, co sobie myślałem, co mną powodowało. Teraz sam już nie wiem.

Kolejno podchodzimy do okienka, każdy z obecnych pyta o nazwisko biorcy. Powtarzam je za każdym razem głośno i wyraźnie. Nie zapomnę go chyba już do końca życia. Po wstępnych badaniach trzy osoby rezygnują. Kolejne dwie, okazuje się, mają anemię. Zostało nas dokładnie sześciu. Tym razem wszystko ma być jak trzeba, zgadzam się na podłączenie separatora do obydwu rąk. Separator, czyli duża szafka, która wysysa krew z żył, odwirowuje trombocyty i wtłacza krew z powrotem.

Pierwsze pół godziny w porządku. Potem zaczynam czuć parcie na pęcherz. Trochę mi wstyd za własne

ciało. Im więcej o tym myślę, tym bardziej mi się chce. Przychodzi mój znajomy. "Hej! Zabaw mnie trochę!" Pielęgniarka patrzy na mnie surowo i wtedy dopiero widzę, że K. spanikował na widok igły. Oddech ma płytki, zrobił się blady, ale po chwili wszystko jest w porządku. Po kolejnych trzydziestu minutach drętwieje mi twarz. W tym momencie powinienem poprosić siostrę o wapno rozpuszczone w wodzie. Nie chcę nic pić, bo nie wytrzymam. "Długo jeszcze?" Kolejna siostra podchodzi do mnie, ogląda maszynię i ocenia "Siedem minut." Patrzy na mnie badawczo "Chce pan iść do łazienki" Jęczę, że tak. Po siedmiu minutach pytam się ile jeszcze. "Siedem minut" słyszę. Rozniósłbym tę salę, gdyby nie igły w rękach. Po kolejnych minutach wydłużonych w stulecia pielęgniarka oznajmia, że to już wszystko. Tylko pozostała krew zostanie wtłoczona i już koniec. "Nie chcę jej! Nie potrzebuję!" krzyczę. Zostawiam trochę siebie w urządzeniu i wybiegam z sali.

Jestem dumny z mojej książeczki honorowego krwiodawcy, powoli zapełnia się bohaterstwem w mikroskali. Z siebie mniej. Cały czas kołaczę mi się po głowie ta dziewczyna. Cały czas mam ją w polu widzenia. Czy ja cokolwiek zmieniam? Czy to było ważne, warte cokolwiek? Gdzieś po kątach czai się myśl o nieszczęściu większym niż potrafię sobie wyobrazić. Szczerze mówiąc, źle mi z tym. O tym niepokoju myślę jak o karze za dobry uczynek. Czuję się teraz związany jakąś odpowiedzialnością, bo przecież zapomnieć nie mogę, nie da się.

Stąd chyba wzięła się karkołomna chęć utraty przytomności. To był koniec tygodnia, urodziny znajomego. Mały domek na działce za miastem. Duuużo wódki. Zacząłem ostro i szybko straciłem impet. Zaczęło się od J. To znaczy ode mnie. Czepnąłem się go, bo nie chciał oddawać razem z nami płytek. Powiedziałem mu, że wiem, że się bał. Ostatnim razem zemdlał. "Życie-srycie, raz się ma, raz się nie ma" powiedział w napadzie pijackiej zaczepności i wtedy rzuciłem się na niego z pięściami. Reszta mnie odciągała. Przez resztę wieczoru jakoś go już nie spotkałem.

Wyszedłem zapalić. Zaczynała się zima, więc było już naprawdę chłodno. Gwiazdy świeciły jasno, niebo wyglądało tak jak w lecie, zupełnie nieestosownie do pory roku. Teraz śmieszy mnie, że pamiętam takie szczegóły. Odkryłem, że nic nie potrafi mnie ogłuszyć. Odpaliłem trzecią fajkę, gdy wyszła D. "Palisz?!" Kretyński dialog, ale co tam. Wtedy się tym nie przejmowałem, nawet nie zwróciłem uwagi. "Nie, a co?" Nienawidzę palaczy - tak mi powiedziała - ale moim przeznaczeniem jest kochać ciebie. Kurwa, gdzie ja jestem, co się dzieje? No, ok. Kochajmy się!

I gówno. Rozmazałem się. O raku kości, o moich płytkach. Było jeszcze gorzej niż zwykle. To przez wódkę. D. przytuliła mnie trochę, posiedziała w ciemnościach, pogadała o życiu i śmierci i poszedłem spać. Ona zniknęła jak senne marzenie i od tamtego czasu dziwnie na mnie patrzy. Ja udaję zanik pamięci.

Znów poniedziałek.

Nie rzygałem, więc od dwóch dni żołądek mi się przewraca. Przesadziłem. Każda kolejna lekcja to mordęga. Patrzę za okno, siedzę, czytam coś. Borze sosnowy! Jeszcze i telefon wibruje. Raz, drugi, trzeci. Wkurzam się, bo na historii nie odbiorę.

Wychodzę, gdy lekcja się kończy i oddzwaniem. To A. dzwoniła. Ciekawe, po co? Rozmawiałem z nią o zakupach ostatnio, może wreszcie ma czas. Odbiera i dziękuje mi za te sześć kompletów płytek, dziękuje za pomoc i tak dalej. Zaczynam się domyślać, o co chodzi. Nie. Nienienie. Niemożliwe. Niemożliwe. I nie chcę przyjąć do wiadomości. Ale dziś, o 4:30. Szybko myślę o tym, że wtedy spałem. Dalej mówię

tym pięciu o wszystkim, co się stało. Nie wiem, co czują, nie wiem, co myślą. Nie słucham, co mówią. Snuję się do końca lekcji.

Potem w autobusie, w korku na moście Grota siedzę i myślę. Tydzień to mnóstwo czasu, ale i tak mało. Tydzień brzmi ładnie, bo zamyka się w określonej mierze. Ten konkretny tydzień będzie trwał nieskończenie długo. Opieram się o zaparowaną szybę, patrzę na szarą Wisłę. Ja i autobus pełen ludzi. Ilu ich tu może być? Ja i sznur samochodów na moście, most przerzucony przez rzekę. Ja i część miasta. Ja i całe miasto, wyobraźnia zaczyna mnie zawodzić. Myślę o dzielnicach, których nie znam, o ludziach, których nawet nigdy nie minąłem na ulicy, choć dzielimy miejsce zamieszkania. Myślę o punkcie na mapie Polski, to Warszawa, a w niej ja. Myślę ja-miasto-kraj-świat. Nie potrafię sobie tego wyobrazić. Ogrom przestrzeni mnie przytłacza. Mnóstwo ludzi, jednak wyspy. Codziennie do biura na ósmą trzydzieści, miliony. A poza tym miliardy. W tym momencie uświadamiam sobie, że tam wszędzie to jest świat i to są ludzie i jestem przerażony. Wszędzie, tam gdzie byłem, gdzie będę, albo nigdy nie dotrę. Bo życie to nie mój sen. Świat nie skończy się wraz z moją śmiercią, nie ja tu jestem najważniejszy. Nie mam cudownych zdolności, nie potrafię leczyć, nie potrafię nic. Nie ma znaczenia to, czego pragnę. Czuję się mały, mikroskopijny, strzępek kurzu na siedzeniu, główka szpilki w nurcie wydarzeń.

Myślę, że to bzdura. Że nie jesteśmy połączeni w żaden sposób. Że możemy próbować się połączyć, podjąć decyzję, lub ktoś będzie decydował dla siebie i obejmie to nas. I jestem szczęśliwy, że dokonałem takiego wyboru i dziękuję ci, bo to przecież ty zrobiłaś coś dla mnie i dzięki tobie zyskałem.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Joachim, dodano 25.02.2009 10:18

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.